# Rozmaitości

Dnia 3. Października **N**er. 40. Roku 1840.

OBRAZ DZIEJOWY

MIASTA LWOWA

Z ROKU 1449.

Biały śnieg leżał na ziemi halickiéj, a miesiąc luty przyszedł z jasném słońcem popatrzéć na piaskowe i gliniane góry*), którym u stopy, lwowie wyrzynało się miasto: dawnyto poród ruskich ziem, cichy początkiem, skrzętny pracą, kędy wielu z Niemiec i gdzieś okrajny Rusin pobudowali zabudy i w nich okolicznym potrzebom dogadzali; — a pisali do Władców Halicza listy, by im zezwolono spokojną bawić się kramarką**). A teraz rok 1449 zastał nie budy ale miasto, któremu baszty z cegieł urosły jak lwie barki, i dwie bramy: halicka, krakowska otwiérają wrzeciądze wozom ładownym towarami z za-granic. Głowę ceglaną wyżéj nad mieszczańskie dachy podniósł ratusz, i pod sobą mieści bazar to ze wschodnim dywanem, to z ruską skórnicą, tatarską wyprawą wsławioną. Bazar, kędy dostaniesz bursztynne zbytkowne dzianie, i berbeniec z bryndzą, winne kwaśne jagody, co w okół miasta po górach ci dojrzéwają, i postoły tak konieczne szparkim nogom hucuła. Niemiec i Rusin na poły dla oka i gęby porozstawiali łakocie, a pieniądz brzęczy, i prosto-duszny szołomi mieszczanin. Od bazaru troje dzielnic miasta rozwadziły się z sobą, — ku wschodowi wzięli się społem do mieszczenia Rusini: brat przy bracie sadowi dom z drzewa i gliny, a często piątrzy, by wyżéj siedziéć od innych. »Ciasno, ciemno, byle wspólnie na wieczorynek i rozhowor«, zdaje się kroić tém przysłowiem Ruska dzielnica, — ku południowi trzymają się Niemcy, schludne ich domy śmiałą budową wyżéj się biorą, jak ruskie; gęsto i dom z cegły stoi, co budowniczy mu Dore*) a w opatrzeniu zewnętrznem, więcéj masz żelaza i kamienia, jakby coś chciały ze zbroje swych panów przypomniéć; a czysto widno jakby im trzeba więcéj patrzéć nieba jak ziemi. Tuż przy nich drugą połacią Ormianie się kupią; przysadkowate ich budowle, wschodni ganek w okół obiega; tam chwilą wieczorną znajdziesz używających swobody z założonémi pod się nogami dawnych mieszkańców Araratu.

Trzecia dzielnica zmiészanych Tatarów, Turków i podkradających się w miasto Żydów — ku północy pod krakowskę podbiéga bramę: na niéj gliniane domy płączą w skos jakby odskakiwały od siebie; wschodni sposób szałasowania widać w ich drewnianych na poły budach; Saraceńska ta dzielnica**) rozbrat z porządkiem i czystością wzięła; czy im w niesmak po przejrzystém niebie, po wielkiém słońcu, co brudy z nich piło, zimna podgórna kraina? czy blizkie błotniste przedmieście, i las dębowy, co wiecznie z wiatrem się goni***) namówiły leniwych

*) *Lhem-berg.*

**) Historyczne poszukiwania tyczące się miasta Lwowa, których pracowitym zbiorem zajął się Wielmożny Zubrzycki, i w téj powiastce, wielem winien jego światłemu udzieleniu.

*) Architekt Dore, stawiał on kościół Wniebowzięcia Maryi Panny i Świętego Jura. (1390).

**) Teraz Zarwanica.

***) Lasy te przypadały jak teraz domy pp. Hausnera i Georga, dotąd uważają w tych miejscach ciąg nieustanny prawie wiatru.

wychodźców Wschodu do zaniedbania siedziby? dość, że jak w ciemnych ramach obrazu, ginie ta część Lwiego miasta, a jéj mieszczany raz ino w życiu czysto pod białym leżą kamieniem, i to u schyłku góry Zamkowej na grobowisku tatarskiém.

I to potulne miasto wyzwawszy Halicz, oną sławną siedzibę książąt Rusi na prześcigi — gdy po nim Tatar z głowniami się przeszedł — mrowim zachodem rozpostarło się na ruskiéj ziemicy, i taką bezpieką dyszy, że doń władca Hałki (1269 r.) Lew, syn Daniła ucieka przed Tatarzynem ze swémi książęcemi zbiory, i jego Łysą górę drewnianém ubiéra zamczyskiem, a tak odziéwa żelazem, że go już z tamtąd Tatar nie wygoni — ale wygonił ostry oddech starego Sławian Pośwista*), więc nie tak butny Lew książę siedzibę piérwszą wiatrom i swoim skarbom zostawił, sam u podnóża glinianéj góry drugi sadowi zamek. Książętom Rusi już zeszło z życia i z panowania: dwóch wnuków Lwa, pokładło się za nim do grobu, a jego prawnuczka Maryja (1325 r.) to poszła w ręce księcia Mazowsza z wianem ziem ruskich.

Teraz już ruskim ziemiom Lwów głową, bo księstwo od siebie nazywa; Lwów piersią, bo gdy Wołoszyn rozhukawszy sprzéczkę do swoich palic się rzuci, a ogniem od Kołomyi zaświéci, kto żyw chowa się za Lwowie wały i sypie z haubic, smigownic narożnych, ogień na poganina. Lwów się nie lęka Wołocha ni Tatara ni Turka, a teraz ni Polaka; zbracił się z nim i królowi Kazimiérzowi Jagiełłonie dał w sprawach swoich przewództwo. On i tak się nie lękał, gdy pojrzał po rękach swych dzieci; bo mieszczan jego z dziada, każdy osobliwie Niemiec, rodem był ze staréj Rajtaryi Kazimiérza Wielkiego, co wysłużywszy żelazem, zyskiwał na starość skibę ziemicy, za którą w młodości krepko jąć się musiał.

Choć zima a śnieg — mnogi ruch widać w dzielnicach miasta: bo wielkito dzień dla Lwowa 22gi lutego. Na rynku wprost ratuszowi stoi czworo-konna złota koléba tuż przy biskupiém mieszkaniu; siadł do niéj Janko Odrowąż, arcybiskup lwowski, piérwszy on po Janie z Rzeszowa, co przyjął miano lwowskiego; — jeszcze rok 1411 zasiał w pamiątce nazwę arcybiskupów halickich. Pamiątka przetrwała władzę Halicza: zrzucił i tę pamiątkę dumny Lwów i chrzcił odtąd piérwszą władzę duchowną od siebie. Jechał więc orszak biskupi do świętéj Barbary, kościoła na nizkim zamku, a na tym zamku siedział starostą Andrzéj Odrowąż, wojewoda lwowski, z ramienia króla polskiego, majestatem i dworem pana swojego przypominając poddanym; ale w ich sprawach mało on zyskiwa działu, tak mocno i dzielnie Lwigrod rozkrzewił swe prawa miejskie, że starosta królewski sługą króla pozostał, nie ciążąc miastu swą władzą.

A tymczasem mnogi lud co rynek zaległ, za ruszeniem karocy biskupiéj, rozbiegł się spieszno w kościoły: tłum się dzieli po drodze. W białych baranich kożuchach pogonili Rusini w klasztor świętego Jura; tam Ojce Bazylijanie greckim obrządkiem poczynają pieśń Boga *»Alliłuja.«* — Dzwon z krakowskiéj strony, uderzył na Panny Maryi Snieżnéj kościele: w ciemnych długich kapotach, czarnym barankiem podbitych, tupoczą osadnicy niemieccy co żywo, — gdzie niegdzie ujrzysz osobne ich grono i strojniéj amstrem kołniérze sadzone, i czapka krągła nizka bobrowa; i poważniéj ku kościołowi spieszą — to z bractwa literatów mieszczanie; od dziewięćdziesięciu lat (1350 roku.) u Panny Maryi Snieżnéj piszą oni swe imiona własną ręką na służbę bożą, i tylko mogący pisać do nich się policzy: wielka to zacność, boto jak piérwszy wstęp i rekomendacyja do urzędów miejskich: bogobojność i pismo.

A kiedy Janko Odrowąż wymijał dominikańskie mury, z rozwartych podwojów świątyni grzmiał huczny hymn: »Swięty Boże!« Na nizkim zamku zatrzymała się karoca, u drzwi kościoła wyszły cechy miasta i powitały chorągwią arcybiskupa — a w progu przyjął go kadzielnicą świętą brat jego w Bogu, Gabriel arcybiskup Ormijan, na czele swéj kapituły.

Przed ołtarzem wielkim, Janko Odrowąż skłonił poważną głowę; po chwili modły powstał, i oddał pokłon w prawo: bo tam przy krześle królewskiém klęczał brat jego

---

*) Ostre powietrze wygnało go z tego mieszkania, obacz Lwów przez ks. Chodynickiego kart. 25.

starosta z mnogim orszakiem panów ruskich; a piękny był ten zbiór twarzy ciemnych z przeciągłym nosem, płowemi włosy pod czuper podgolonémi, na których z uszanowaniem odkazywał lud ruski w głębi kościoła stłoczony. Ruskieto podpory co nieżałowały ramion i stalowych zbroic świécących im pod niedźwiedziami, aby być piersią na tatarskiéj pogoni. Chłop w chłopa; rzekłbyś to las dębowy, co w okół świętego Jura Lwów słoni! Bo stał tuż za Andrzejem starostą Jan Włodek z Charbinowiec; z niedawna ojciec jego starościł Lwowianom, przy nim Sienko z Sienowa, podkomorzy ziemski, — i Piotr Odrowąż, wojewoda Ruski, i Jacko z Dziedoszyc, co krewniakiem mu piérwsze domy Rusi, i pan Łenka starosta żydaczewski, i dwóch Buczackich, co w herbie Abdank, a w ręku taką dzielność mieli, że polskim wojskom przewodząc na Wołoszyna, (r. 1431) z zabiorczéj ręki księcia Swidrygajła Lwów ocalają.

A wprost tym panom na lewicy, dwunastu mieszczan czarno ubranych, stało osobno od ludu, jeden przy drugim: wiek i powaga na grubych jaśniała twarzach, siwy jak gołąb starzec w pośrodku nich trzymał wielki zwit pargaminu. Kiedy się ku nim obrócił Janko Odrowąż — poklękli, — w on czas palec arcybiskupi przeżegnał zniżone ich głowy i począł święte przybiérać ornaty.

W tym powstał z aksamitnéj klęcznicy starosta królewski, i ręką skinął: dwunastu mieszczan z siwym starcem w przodzie przyszło do stopni tronu, i oddało z pokorném czołem zwit pargaminu. — »Panowie Rajcy miasta Lwowa«, rzekł do nich Andrzéj Odrowąż w imieniu króla polskiego Kazimiérza Jagiełłona. »Ja Andrzéj Odrowąż z woli Boga i pana mojego Wasz starosta Lwowski, pytam Waszmościów, azali to pismo zawiéra imiona kandydatów przez miasto nasze, wolnym sposobem obranych na *Proconsula Regii.*«—Skinienie głowy i ustna przyznaka odpowiedziały pytaniu. — W głos zatém czytał starosta: »Petrus de Lubin«, »Nicolai Fredeni«, »Alvisius Schropc« i za każdą nazwą, z okręgu tych głów dwunastu, wychodził człowiek, kłaniał staroście i biskupom, a potém kwapną nogą szedł przed stopnie ołtarza i klęka.

A teraz brzęk dzwónków i głos organów ozwał się w przybytku pańskim, święta poczęła się ofiara, — lud w prośbę za wybranémi hymn panu swemu zanócił. — Odkąd Lwów Polsce hołdować przystał, obrząd łaciński został niejako religiją Stanu, ale on piérwéj jął się téj ziemi, boć jeszcze Danił (r. 1246) gdy mu się zechciało Czerwono-Ruskim ziemiom królować, już od stolicy świętéj Rzymu zyskał Oppizona Legata, co mu na głowę położył błogą koronę Halicza. — Wtedy we dworze książęcym poczęli kapelanić Dominikanie i u stóp zamku sadowią sobie świątynię: aż niezabawem święta modła żony Kolomana (1254 r.) króla Halicza, odziéwa skromną głowę cichego Dominikana biskupią infułą, a kroniki mu piszą: *»Gothardus primus Russiae Episcopus.«* Lecz zawsze w zgodzie na one czasy, trzy liturgije prowadzą lud pokorny w nauce boskiéj.

Nagłém wstrząśnieniem zabrzmiało sklepienie świątyni, — lud — panowie — i orszak duchowny uderzyli kolanem; ustały dzwónki, śpiéw ustał, bo arcybiskup w stopniach ołtarza ciało boże trzem rajcom pożywać daje! — Czyste ich serce, jak myśli czyste, winny sięgać po władzę nad miastem. Dla tego jednają się z Bogiem, z sumieniem, aby im potém w sprawach ludu Bóg był podporą, sumienie mocą!

I wstali panowie Rajcy, pokrzepieni modłą, — kłonią ołtarzowi i biskupom, a teraz z zaproszeniem na ratusz idą do królewskiego starosty. Andrzéj Odrowąż ruszył z wąsatą Rusią, i wzajem z sobą arcybiskupów z kapitułą sprasza. — Walny ten orszak wzięty w karoce, ku rynkowi zmierza. A Rajców dwunastu idzie pieszkiem przez miasto, i kłaniają ludowi i biorą pokłon od niego. — Szli zwolna, aby każdy był widzian, aby głos jaki, któryby miał skarzyć na nich, zastał ich teraz z groźbą i wymówką — publicznie — w ulicy. — Przejście ich witane wesoło; to piérwsza sankcyja ludu, — co oko w oko, widział ich, osądził i przyzwolił za panów*). Wejście ratuszne zaległy cechy z proporcami swémi tuż pod

*) Panami zwano tych 12 Rajców, — tak mówią prace historyczne W. Zubrzyckiego.

wieża, na którój roztoczony herb miasta puszy się bramą z trzema wieżycami, w nich Lew stoi, i w łapach dzierży trzy góry. — Na odgłos: »Idą nasi panowie!« rozstąpiły cechy, i kłonią proporce: salą ratuszna grzmi okrzykiem, a panowie z rycerstwa i Senat miasta, zajął urzędnicze ławy.

Starosta królewski stanął przed krzyżem Chrystusa Pana, co na radnym umieszczon stole; i w imieniu królewskiém, mianując burmistrzem miasta Piotra z Lubina, ku przysiędze 'go wzywa. — Postąpił siwy ów starzec, — co w kościele świętéj Barbary zwitek trzymał — a wznosząc dwa palce w górę, przysięga.

I przysięgał Bogu w sądach swych naprzeciw braci czyste mieć zawsze sumienie. I przysięgał królowi w sprawach miasta brać jego za opiekuna. — Przysięgał miastu, praw jego życiem i siwym swym włosom bronić. I przysiągł braciom mieszczanom, jednakie zawsze serce zachować, ani krewieństwa, ani wyższości nie bacząc. — Z ostatniém słowem przysięgi, huk haubic z wałów i basztów grzmiał z głosem sali ratusznéj: *»Ecce Proconsul Regius!«*

Zeszedł ku starcowi Senat miejski ze swoich ławic, i wita naczelnika. Piotr z Lubina postąpił na ich czoło, i kroczy na urzędnicze miejsce, aby podziękę miastu za jego ufność uczynić — gdy krzyk nagły kobiécy, przeleciał komnatę radną. Stłoczone, ode drzwi rozstępują się koła; wpada niewiasta ruska, na jedném jéj ręku spoczywa dziécię nierosłe, całe we krwi — a drugą ciągnie za sobą wściekłego Saracena, co jéj oprzéć się kusi. — Rozpłakane jéj lica, peremitka zsunięta z głowy, a jasne włosy biegają po szyi zdobnéj bursztynem i koralowém dzianiem; troje złotych krzyżów na sznurku biją w jéj białe łono, — kaftan odsłonił pi rsi, snać to matka co dziécię traci, — lwica co ryczy — Rusinka co się mścić napiéra.

»Panowie Rada, ojcowie Rusi«, płac e jéj głos niewieści — »to syn mój, to Fedora syn, to łaska boża, — to nieszczęście moje. — Litujcie! pohaniec, bezbożnik, w jasny dzień Boga, ot teraz, w czasie waszego wesela, pchnął syna mego tym nożem; — tu rana, — tu zabójca, — ludzie widzieli, — krew płynie, — ojcowie! zemsty, — ojcowie sprawiedliwości!«

I skośniałą ręką szarpie za széroki kaftan Saracena, — on stał, licem śniadém, zgorzałém śmiało ku Radzie zatoczył; na jaskrawéj krymce falował Tadzi-Khoracani, to zwój biały z ogromnémi fałdy, co mu aż do czarnéj brwi zachodzi; krucza długa broda, z piękności między swojémi przydomkiem Kara *) uczczona, nie drgnęła przestrachem, ręką krzepką a wyschłą trzymał za dzieryt skrwawiony. — Czarne mu oko lata po zgromadzeniu tłoczącém go napastnie; wzrokiem się broni, i giestem, — ale nic więcéj; rzekłbyś z kamienia Muzułman. A niewiasta przerzuciła się żalem na dziécię swoje, rozkłada drobne jego ciało i całując w twarz niebogę, poczyna zawodzić śpiéw hołoszenia: *)

Iłłyjku! Iłłyjku! Kto cię nosić będzie,
Kto ci w główce siędzie — Iłłyjku;
O! ziemia, matka, już cię nosić będzie
Zazula siestryca, nad główeczką siędzie,
Iłłyjku! Iłłyjku!
Iłłyjku! Iłłyjku! Któż w twojéj odzieży
Z połudenkiem w pole do ojca pobieży,
Iłłyjku!
Oj! sama matka do swego pospieszy,
A łzami nakarmi, a łzami pocieszy Iłłyjku!
Iłłyjku!
Iłłyjku! Iłłyjku! Czarne owce moje
Kto wpędzi na tłoki, kto spędzi na doje,
Iłłyjku!
Oj! niech błądzą owce, niech strawy szukają,
Bo jak owce błędne me usta wołają Iłłyjku!
Iłłyjku!
Iłłyjku! Iłłyjku! Oj zacięży smutek, któżże mu podoła!
Obejmie rączkami i »Matko« zawoła, Iłłyjku!
Oj! niech cięży smutek, niech mnie w grób położy,
Póki święta cerkiew, wrót mi nie otworzy Iłłyjku!

Głos jéj rodziéra serca, żal stanął widomy; bo ten śpiéw prosty, co wywołał przeszłe życie dziecka, całe życie domowe wieśniaka, był jakby głosem matki Rusi, płaczącéj nad stratą swych synów. — A Saracen nieruchomy, sarkający twarzą, był jak Napad z dzierytem w ręku oblatujący halickie ziemie. — Głos obecnych rozdarł się w jedném słowie: »Sprawiedliwości panowie!«

Piotr z Lubina wystąpił: »Miano twoje Saracenie? —«

— »Skatan-Kalfa«, odparł pytany.

»Kto jesteś?«

---

*) Wyraz Turecki *Kara*, znaczy *czarny* — ten przydomek miał i Osman zdobywca (r. 1326); wiele razy przy badaniach moich w historyi, przychodziło mi podobieństwo wyrazów polskich z tureckimi; i tak u nas koń kary, znaczy czarny; nie dziwna pożyczka słów gdy zważymy ciągłe stosunki wojen i osadnictwa, jakieśmy z tym narodem miewali.

*) Miarę téj pieśni żałobnéj, nawet jéj czystość i prostotę improwizacyjną, starałem się wiernie oddać. — Kto słyszał kilkodniowe hołoszenie ruskiéj płaczki na pogrzebie, dopiero jest w stanie osądzić poetyczne usposobienie tego narodu.

—»Muzułman z waszego miasta, z saraceńskiéj dzielnicy: wyszywam siodła z rzemienia koniom waszym, i dzieję ich złotem.«

»Tyś zabił?«

—»Ja.«

»Sprawiedliwości!« na Poganina krzyczał lud, »sprawiedliwości! —«

»I czemuś zabił syna Fedora — pohańcze?«

—»Nie bluźń sędzio!« — rzekł spokojnie Skatan-Kalfa, »nie dodawaj nazwy, — nam nazwę niebo rzuca, — nie ludzie, — mówi mi Kélam-Szerif*), powiém jak było. Zeszło ze świata wczoraj ojcu memu. *Ałłah!* go wezwał; — poszedł jak żył, — śmiało — nawet ócz nie zamknął gdy go śmierć brała. — Ot teraz niosłem go w grób pod zamek, — ja i bracia moi; nadeszła wasza niewiasta, z małym Giaurem — Giaur podniósł kamień i rzucił nim na zwłoki ojca Skatana-Kalfy: rzuciłem dzieryt; niech idzie Giaur tam w ziemię przeprosić ojca mego. Skończyłem, a teraz mnie wołać sprawiedliwości sędzio!«

Ucichły szmery — głos tylko biédnéj Rusinki zawodził z cicha nad dzieckiem. Panowie Rajcy otoczyli kołem burmistrza Piotra, i radzą.

Wtém żelazne zatupotały stąpania, — Adam i Janusz Samchowie w całéj zbroicy, drą się przez tłumy, żądając widzieć burmistrza. — Im z mieszczan powierzona strażnica, i baszty Lwowie; z wielką nowiną spieszą z wałów, bo coś i z rynku zalata gwar niezwykły, — to szamotanie się tłumu z krwawą wieścią. Samchowie rozpowiadają w głos, że łuny biją od Halicza, od Kołomyi; już lud z okolic ciśnie się w bramy miasta z dobytkiem, — co robić panie Piotrze z Lubina?

»Bramy miasta otworzyć nieszczęściu«, — odrzekł burmistrz sędziwy; »dla braci naszych serce otworem, dla nieprzyjaciół paszcze haubic. — Wy bracia Rajtary na wały; tam was dosięże rozkaz mój i Senatu.« Na wieści łun i napaści, zajaśniało oko Saracena, — wesołość parska mu z lica; to koń, co poczuł swoje powietrze, a usta śpiéwają jakby hymn zwycięztwa: »*La ilahe ill'allah, we Muhameden rekutallah.*«**)

Popatrzyli wszyscy w twarz Skatan-Kalfy, to nie mieszczanin z Saraceńskiéj dzielnicy, to nie wyszywacz siodeł z rzemienia, — to niewierny cieszący się z upadku Giaurów, — a w tym schylił się do ucha burmistrza Adam Samech i szepce: »Ot cała dzielnica Saracenów z tak wesołą chodzi twarzą, i taką pieśnią naszym nieszczęściom urąga.«

Zamyśliła się sędziwa głowa Piotra, — kilka słów na ustroniu pomówił z kołem Rajców, stanął za stołem radnym; kazał wziąść w rękę pióro pisarzowi, i głosem cichym taki im wyrok obwieścił: »W moc prawa nadanego nam od króla Ludwika (roku 1378): my magistrat Lwowiego miasta, skazujemy na ucięcie głowy mieszczana Skatan-Kalfę; a za kradzież chłopców i dziewcząt naszych — zabójstwo i mordy mnogo popełniane przez wyznawców Proroka, wyrzucamy tém słowem naszém, całą osadę Saraceńską za bramy naszego warownego miasta.« (r. 1403).

A miasto klasło w obie dłonie na śmiały wyrok Piotra z Lubina; panowie Ruscy potakiwali głową, — odcięto zrażony członek dzielnicy, by zdrowe ciało zachować. — Ale któż biédnéj sierocie ulgę za synem przyniesie! — Sąd ludzki, skończył swe czyny, dał wyrok — zdéjmą głowę; krew za krew wylać — ale wrócić, — kto wróci? — dla tego matka stoi jak stała w płaczu, w żałobie! W tym z koła ciekawych mieszczan, wyszedł człowiek z siwym włosem, — na szyi kryza biała, a czarne upięcie stroju, obcisłe, włoskim obyczajem trąciło. — Przyszedł do syna Rusinki, wziął go za tętno; długo nasłuchiwał ciekawie — a w okół milczenie niespokojne. — »Kto taki?« pytały tylko twarze jedne drugich. — To Wasyl *Apothecarius**) piérwszy w swéj sztuce, co się w tém mieście sadowi, — szemrano w koło. — Wasyl obrócił się do Rusinki: »Matko nie płaczcie, wasz Iłyi żyć będzie.« Krzyk jéj, i ona sama razem leżały u nóg Wasyla. — Za wyrok zemsty, matka nie znalazła głosu, — za powrót życia dziecka o! czyż głos nawet ostatni nie wypadnie z ust wdzięcznéj matki? — Wasyl wziął Iłyja w ręce, i powiódł do swego bazaru w rynek miasta, — a za nim mnogo ciekawych rozbiegło się ludzi.

Zwolna wychodzono z ratusza, — na samém wyjściu starosta Odrowąż odebrał królewskiego posłańca, i wraz do siebie na zamek panów Rusi sprosił. — Wielkie złe zabiérało się na halicką ziemię.

W Wołoszech Piotr wojewoda umarł, a brat jego co dotąd w Kołomyi na mieszkaniu siedział, z prawa następstwa brał się na Multany, i prosił wuja swego króla polskiego Kazimiérza Jagiełłona, o pomoc przeciw Bogdanowi Samozwańcy, co sobie na ziemiach wołoskich stronnictwo zrobiwszy, udawał jego stryja, a teraz wybiégł z gór wołoskich i Piotra z Suczawy wypędził, — i gnał go ku Kołomyi. — Właśnie łuny od Halicza, znać dają o postępie Wołocha,

*) *Kélam Szerif*, inaczéj *Alkoran*.

**) Nié ma bóstwa, ino Bóg — a Mahomet jest Jego posłańcem.

*) Piérwszy aptekarz, o którym wiémy, około tego czasu był osiadł we Lwowie, i zwał się Wasyl. (histor.)

na ruskie ziemię ciągnie on ogniem i mieczem. Już wojsko polskie gonią najezdce, a mieli wodzów z głowy i z ręki świadomych dobrze w utarczkach. — Trzech ich było, — trzej Rusini — krępcy i wieloważni — Piotr Odrowąż, wojewoda Ruski, brat starosty, u którego rada teraz i brat kochany arcybiskupa, — Mikołaj Porawa, starosta Halicki, — i Michał Buczacki rycérz. Krucho być musi, gdy mimo tego list królewski oddał Janowi z Sienna Sienniskiemu pan starosta lwowski, a w nim nakazano zbiérać posiłkowe wojsko pod Lwowem. — Do tego król się w własnéj obiecał osobie. — U panów ruskich, przy boku był miecz, a po lewéj serce, od serca na miecze porzucili ręce, i już gotowi. — Jak w pole ruszyć, czyni rozkazy Jan z Sienna, — i wielu każdy da z łanu, wyznacza; — lecz króla czekać we Lwowie, zgodziła się rada.*)

Posłowie z miasta prosili panów ruskich, w razie napadu o pomoc; kazano im bronić się Rajtarami niemieckiémi z murów, — a oni pójdą pogonią, lub przodem piersi w polu nadstawia. — »Wy miasta, my ziem ruskich pilnować zwykli«, odparł im z pyszna Jacko z Dziedoszyc; rada i na to przystała. — Potemu przyszło kilku z dzielniejszéj miejskiéj młodzi, Adam i Janusz Samchowie na czole; — młoda ich krew nie chciała w murach czekać na Wołocha; wpraszali się w ochotę — w pole, — wały zostawili starym; ich kusi konia dosiąść, — i gonić.

»Od łokcia do korda rośnij mi żwawo ochocza młodzi, a będziemy się jakoś bracić!« zagadł żywo pan Odrowąż starosta, a list pozwolenia wydał im w pułki buczackiego rycérza — i wesoło odeszli radę.

Wieczorem było, gdy ochotnicy nasi wracali z nizkiego zamku, — twarz ich jaśniała, właśnie niebo co nad niémi iskrzy gwiazdami. — Na zaułku ormijańskim zatrzymali chwilę, umowili wspólnie, gdzie jutro z koniem i zbrojno zejść się mają, — a teraz każdy z osobna polecial żegnać, co miał najdroższego w życiu. — Adam i Janusz Samech, szli zwolna przez rynek; w zielonéj kamienicy, co lewym bokiem ratuszowi stała, na piętrze migało światełko; — Janusz pojrzał po szybach, i lica czerwieni.

»Wiém gdzie zajdziesz«, mówi mu z cicha Adam, — »daj ci Boże, — i pożegnać i znowu zdrowo powitać, — ja z siodłem na Saracenkę pospieszę, i nasze opatrzę zbroice. — «

»Tylko mi nie baw Adamie w kosterkę, bo wiesz, że nasi panowie radni, darmo praw miastu nie piszą; zakazali te grania w kości (roku 1387), i jużem za ciebie karą nie jednę grzywnę upłacił. — «

*) Historyczne.

»Ba! jutro za swoją grzywną niechże mnie gonią za krakowską bramę«, odparł mu małoważny Adam, i poszedł daléj. — Janusz zaś chibocząc nogami, po wschodach do kamienicy spieszy — we drzwi wchodowe zapukał: »W imię święte« odpowiedziano z komnaty; — on wszedł. Stary Piotr z Lubina z rozpiętéj ferezyi mrucząc wieczorne pacierze, chodził kroczo w alkowie; może spodziéwał odwidzin, bo Januszowi bez pytań, podał przyjacielską rękę, a potém wskazał na ławę, co pod kraciastém zalegała oknem. Dwoje żółtawych świéc w śrébrnym świeczniku na stole, paliło się niejaśnie; komnata nizka, wązka a długa, miała to jedno okno, i jedne drzwi, co niémi wszedł, zaś w przepierzeniu drewnianém, którego stolowanie błyszczało suchym jaworem, było wejście wewnątrz, ruskim kilimkiem zarzucone. Boga Rodzica w świętym obrazku miała swój kącik szanowny, — a z resztą schludność i czystość była największém bogactwem téj izby, — dla nas, nie dla Janusza; on czegoś bogatszego patrzy. I wypatrzył, bo téj chwili z za przepierzenia wybiegła, piękna młoda Rusinka. — »Ojcze! ojcze!« krzyknęła Handzia Lubianka, a obejrzawszy na gościa, zawstydała się nieboga. A Rusinka kiedy się zawstydzi, to kotka kiedy się myje: obu rączkami białemi, swoje jagody zasłoni, trze sobie niebieskie oczy, cała jéj postać gnie się w smagławych ruchach kibici: i nie widzićć, czy dać się jéj wstydzić, i czekać, — czy prosić by nie wstydała; bo do niéj serce patrzące, ni sokoł za ptastwem ucieczc. Janusza serce sokołem, dawno za Handzią przepada, a Handzi jakoś to miło, kiedy Janusza widzi, górska to niby połonina co na smerekę czeka, by się jéj cieniem upysznić. — Tylko rodzice od siebie jakoś i kwaśno, i zdala. — Pan Piotr z Lubina, ze krwi ruskiéj, już na téj ziemi Lwowiéj, coś waży, i znaczy, — a Samchowy rodzic, przyszedł z berdyszem samotwór, z Rajtaryi Kazimiérza Wielkiego; co uzbiérał żelazną prawicą, to wyłożył na towary; z towarów rosną grzywny, — bogaczci, ale ubiorem, zwyczajem, gdzieś się oddziela od Piotra. — Bo jeszcze w ów czas dzieci Lwowa, nie wtarły w siebie piętna osobistych początków. Bratanie się osadników niemieckich z Rusią szło zwolna, obyczaje jedni drugich ciérpią, ale jeszcze miejskich zwyczajów nie tworzą, coby im za wspólne służyły. — Idzie ku temu, ot właśnie, komnatna miłość Handzi, Janusza to szczebel na drodze politycznego rośnięcia miasta. — Potrzeba, co spędziła ludzi w jedno mieszczenie, uczuciem szlachetnieje, upiększa się, mocni, i wyrasta z niéj nowe ciało narodowi ku obronie życiu, ciało Municypiów.

Janusz nie długo mógł ostać pięknym Rusinki łaszeniom, poskoczył do ręki, tkliwemi germańskiemi sity, — a do pana Piotra z Lubina, co mu się na tę śmiałość zmarszczył, drżącemi rzekł słowy:

»Jutro ja nie wasz, ani ojca mego, — jutro ze mnie królewski bojownik pana Buczackiego rycerza, — do Wołoch idę. Wiém co Was krzywi na Janusza panie burmistrzu, — Janusz więc z pola z herbem sobie wróci, i złoży swą szlachetność do nóg Hanny z Lubina.«

Starzec uśmiecha i potakuje głową, ale Handzia zbladła; oczy jak niebo kiedy je mgła owieje, a ciało jak sosna kiedy nią wiatry grają. Janusz nic nie widział, tylko głowę potakującą starca, tylko uśmiech ojca, — przyzwolenie — nadzieję, — ręką uderzył w żelazną zbroicę, — ścisnął dłoń białą Rusinki — już na wschodach, — już w rynku — już koło konia. Dalej z nadzieją Januszu! —

* * *

Zginęły śniegi pod glinianą górą — lasy dębowe w okół zielenią, — lipcowe słońce gore nad miastem, a jednak miasto z bramą zawartą, z bojowém czekaniem, tuli się w swoje wały, jakby mu zimno było. A teraz więcéj ostrożne jak kiedy, bo mieści w sobie ukochanego pana i króla Kazimiérza Jagiełłona, co mu ku pomocy zjechał. — Pan z Sienna zgromadził boje, czekają tno wieści od polskiego rycerstwa goniącego po wołoskiéj ziemi, a tymczasem ochota na nizkim zamku grzmi z pyszna; co z przedniejszych Rusinów, wszyscy koło dzień w dzień przy królewskim stole. Raz wieczorem kagańce płoną, a przy nich kolejny toczy się puhar z rąk do rąk. We framudze zamkowéj zadumał się Kazimiérz, kołem mu stanęli Andrzéj Odrowąż, Piotr Włodek i Janko arcybiskup. — Rozmowa ich nie głośna poczęła zwolna upadać; kilka wspomnień o Litwie, którą tak Kazimiérz ukochał, że dla niéj mało nie stradał korony, niebaczna wzmianka o bracie warneńskim, pochyliło mu czoła; tak właśnie zeszedł księżyc na niebo, jasny, śrébrzysty, — kilką chmurek białawych skupiło się doń ciekawie, i jego lica utonęły w zmroku. — Ale o podal głośniejsza bije rozmowa; pana Jacka z Dziedoszyc przyparł pan Tarło Zaklika, krajczy koronny, co z królem swoim z Polski przyjechał.

— »Kto kogo przepije pewno targu dobije«, zerwał wesoło pan Tarło podając puhar Jackowi.

»Panie krajczy«, odparł Jacko z Dziedoszyc, imając podane naczynie, »zdrowie Waszcinéj głowy ale nie jego życzeń pijemy.«

»To czemu?« targnął Zaklika.

»Bo lej i konewkę, a nie przepiję do ciebie moję dziewkę«, odrzekł mu Jacko z Dziedoszyc.

— »Czy złota więcéj, czy rodu więcéj Wam panom Rusi potrzeba, aby ich córki otrzymać?«

»Na to dość być Zakliką i mieć krajczego godność«, odparł Jacko, — »ale co się daje, a odebrać nie może — jest słowo Rusina, — dałem go panu Iwanowi z Uherca i Rajtarowic.«*)

»Słowo dane, czy niedane, a mnie ku sercu bardzo Wasza Maryjka przychodzi, — gdzież dzisiaj Iwan z Uherca? — z Wołochem goni na ostrze, kto wié czy prędzéj on ziemi nie zaślubuje jak Maryi, — szanujcie wolę Boga panie Jacku, co mi tak usta otwiéra.«

»Szanujcie słowo Rusina, co mi znow moje zawiązało usta«, odrzekł porywczo Jacko.

Zamilkli — król słuchał bacznie, — bo ich głos strojony coraz więcéj uczuciem, zapomniał cichéj przyzwoitości, a gdy jeszcze jakby pół-głosem powtórzył Zaklika Tarło: »Kto wié czy Iwan z Uherca nie zaślubuje wpierw ziemi«, — powolna noga Kazimiérza podnosiła się z posadzki, i chciał się w swadźbę posunąć; myśl łączenia panów Rusi z panami korony, co ciągle ku sobie krzywo byli, godna była królewskiego wdania. W tym nagle rozbiegły odrzwie komnaty, — w całéj zbroicy wszedł rycerz.

»To Iwan«, krzyknęły usta Jacka. — Król zadrżał, drgnął Zaklika — oczy wszystkich obsiadły rycerza, on wolnym krokiem szedł do króla, w prawicy dzierży trzy miecze — na lewéj strzaskany naramiennik, stal zdarta, a ręka na czerwonym zwieszona pasku — rzekłbyś duch wywołany stanął w odpowiedź Zaklice.

»Z Wołoch? z Wołoch?« — pytał król chwiejnym głosem, jakby chciał nabrać pewności czy to jest ludzki posłaniec.

»Tak, z Wołoch miłościwy panie«, rzekł Iwan, i zgiął przed królem kolana. — »Niosę Wam wieść zwycięztwa z pod Krasny.«

»Wojsko moje?....«

»Rozniosło Bogdana.«

»Wodzowie?....

»Miłościwy panie, oto z nich co zostało, wojsku i Tobie — trzech było — trzy miecze niosę — a trzy ich ciała prowadzi zastęp niedalcki.«

»Mój brat!« — rozkrzyknął sędziwy arcybiskup i łzami zapłynęły słowa.

Żal braterski przemógł żałobę królewską, on za wodzem — Janko za bratem boleje, — tu głowa, a tu serce płakało. — Głowa wiele znieść może, a serce pęknie kiedy w starości padnie nań wyrok tak srogi.*)

Nazajutrz rankiem, Senat i mieszczan wezwano na ratusz, z posłuchania od króla wrócił Piotr z Lubina, i począł mówić wielką nowinę zwycięztwa; lecz w głosie starca, coś zawodziło żałośnie, a że gdy przyszedł do tych słów: »Więc miasto moje, teraz ci spokój, bo granic twoich od multańskiéj ziemi, pilnują nietylko, panów Rusi — Odrowąża, Porawy i Buczackiego ciała, ale i dzielnéj twéj młodzi. — Cześć Wam mieszczanie polegli, Januszu i Adamie Samchowie!«**)

Panowie Rajcy spojrzeli po sobie i po starcu, on przygiął głowę ku piersiom: wspokojne, domowe jego życie wołoski grom uderzył! — Biédna Handziu! oj młode serce dziewicy wieleż to razy krwią spłakać musi, za nim się przyjdzie w godowe uśmiéchy.

I Lwowie miasto dało trzy groby w przybytkach pańskich, trzem wielkim wodzom, Rusinom, —: była cisza, — na chwilę, od łun i pożarów. — Pogoda niby: co to nad tobą jasna, śrébrzysta noc się rozwodzi, a brzegiem na widno-kręgach z chmur wielkich dalekich, ciągle cię straszą ogniste błyski. *D. Magnuszewski,*

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo - przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 39. i obejmuje: 1) Skazówki do uprawy lnu potrzebne. 2) Postrzeżenia i uwagi nad zarazą kopytkową owiec. 3) Asseknracyja na konie i bydło. 4) Bilans cukrowni Białoka-

*) Maryja córka z Dziedoszyc Jacka, poślubna panu Iwanowi z Uherca i Rajtarowic (historyczne; patrz historyją domu Dzieduszyckich, przez hr. Maurycego Dzieduszyckiego w rękopisie.)

*) Arcybiskup nie przeżył go, ze żalu mu się zmarło wkrótce. (histor.)

**) Z mieszczan, którzy zginęli na téj wyprawie, dwa te imiona przechowały archiwa (Zbiory W. Zubrzyckiego.)

mienieckiéj (w obwodzie złoczowskim.) 5) O sposobie wydobywania z buraków soku cukrowego i przeistaczania go w cukier rafinowany nie wyjmując go z form; przez p. Boucher. 6) Recepta na ocet z ziół. 7) Wiadomości czasowe.

Lwowianina, przeznaczonego krajowym i użytecznym wiadomościom, wydawanego w połączeniu prac miłośników nauk, zeszyt trzeci opuścił prasę dnia 28go września r. b.

Z Warszawy: Ogłoszono tu przekład sławnego romansu E. L. Bulwera: *Ostatnie dni Pompei.*

W Monachium odznacza się talentem malarskim młody Warszawianin Aleksander Lesser. Już roku 1838 był na wystawie tamtejszej nader piękny obraz jego, przedstawiający: »Córki Cyda.« Późniéj pan Lesser posłał na wystawę warszawską drugi obraz: »Zwycięztwo małego Dawida nad olbrzymem Goliatem«, za który dla zachęty dano mu w upominek medal śrébrny. Obecnie zajmuje się wystawieniem na płótnie pamiętnego w dziejach »Oblężenia Trembowli.«

Piękną rycinę przez p. Antoniego Tepplara rytowaną w czarnym sposobie na nasiekiwanéj blasze, przedstawiającą: »*The Right Houble Lady Dover and her Son the Houble Henry Agar Ellis*«, i mnie przysłaną, złożyłem w publicznym księgozbiorze Imienia Ossolińskich, dla publicznego widzenia i zalecenia doskonałego rytownika tego, który znany już jest w kraju naszym z wielu dokonanych na miedzi rycin i drzeworytów, a który obecnie w Wiédniu przebywa. *A...*

Żelazne pieniądze. Uczony podróżny Ignacy Pallone nadmienia w swym niedawno wydanym dzienniku podróży, iż mieszkańcy środkowego Egiptu, zacząwszy od Kairu w górę Nilu aż do Kordofanu, używają dotychczas żelaznych pieniędzy, które od czternastu do ośmnastu uncyi są ciężkie. Wypadek ten przywodzi nam w pamięć piérwsze pieniądze, które w dawnych czasach na wyspie Eginie nie bito, ale kuto, tudzież żelazną monetę, jaką mądry a surowy prawodawca Likurg dla zabieżenia skąpstwu mieszczan w Lacedemonie zaprowadził.

Nowe dzieło o teatrach europejskich. Témi czasy wyjdzie w drodze prenumeraty w Paryżu dzieło pod nazwą: »*Théâtres modernes de l'Europe ou paralèlle des principaux théâtres et de systèmes de machines théâtrales françaises, allemandes et anglaises, par Clément Contant, machiniste en chef de l'academie royale de musique de Paris*«, które dla teatrów bardzo jest ważne. Zawierać bowiem będzie opisanie teatrów i oper w Paryżu, *du château de Versailles*, w Petersburgu, Berlinie, Mnichowie, Wiédniu, teatru *Scala* w Medyjolanie, Turynie, *Carlo Felice* w Genui, *San Carlo* w Neapolu, Kopenhadze, Bordeaux, Lugdunie, Marsylii, Strasburgu, Hamburgu, Moguncyi, Darmstadzie, teatru *de renaissance* i opery komicznéj w Paryżu, nakoniec trzech najcelniejszych teatrów londyńskich. Całe dzieło obejmować będzie tom jeden w folio, i ozdobione 120 najbieglejszych artystów miedzio-rytami. Cena prenumeraty jest 120 franków.

Ilość języków rozmaitych. Ilość języków i dyjalektów używanych na naszéj kuli ziemskiéj wynosi 3065; z tych przypada na Europę 487, na Azyję 846, na Afrykę 284, na Amerykę 1282, na Australiję 164.

Nowa Holandyja. Nową Holandyję można nazwać przewrotnym światem. Wiatr północny w tym kraju jest ciepły, a południowy zimny; wiatr zachodni jest zdrowiu szkodliwy a wschodni zbawienny. Ciepłomierz wznosi się tam w ogólności gdy ma być deszcz, a gdy ciepłomierz spadnie, wtedy pogodę oznacza. Doliny są zimne i nieurodzajne w tych samych okolicach, w których wiérzchołki gór są ciepłe i żyzne. Wszystkie łabędzie w Australii są czarne, a orły białe; jest tam pewien rodzaj kreta, który niesie jaja, karmi swe młode i ma dziób podobny do dziobu kaczki. Tam chowa się także *kenguru*, który za pomocą ogona bieży i młode swe w worku z sobą nosi. Psy w Nowéj-Holandyi mają głowę wilka, brzuch lisa i nigdy nie szczekają. Są tam także skrzydlate węże, i ryby, które jak niedoperze latają; pokrzywa dochodzi wysokości drzewa, gdy tymczasem topola jak krzew jest karłowata; paproć rośnie do 20 i 25 stóp wysokości i rozpościera gałęzie swe poziomo na 5 lub 6 stóp w kształcie słonecznika; kazuar ptak olbrzymi równie jak i struś, zamiast piérza, pewnym rodzajem włosów jest pokryty. Większa część drzew utraca corocznie korę, ale na gałązkach zawsze liście pozostają. Na niebie prawie przez cały rok nie ujrzysz chmurki, a pomieszkania najuboższych ludzi, wystawione są z drzewa cedrowego, podobnie jak pałac Salomona; lato zaczyna się tam z dniem piérwszym miesiąca listopada, a kończy się w miesiącu marcu; zima trwa przez miesiące czerwiec i lipiec aż do końca sierpnia; nakoniec są tam drzewa niewydające nigdy owocu, kwiaty bez woni, i ptaki niemające żadnego głosu. Wiele takich i tym podobnych zjawień wydaje się w saméj rzeczy, jakby ironiją na znajome nam stałe normy historyi naturalnéj. Nowa Holandyja ma nader mało rzék, a nawet jeszcze niewiadomo, ażali nieznajome jéj okolice w środku swoim krajowe morze mają. Nędzna piérwiastkowa ludność tego kraju zajmuje się jedynie łowami, jada mięso człowiecze i jeszcze niespostrzeżono w niéj ani śladu religijnéj wiary.

W Maybole w Anglii zrzucił wicher z dachu jaskułcze gniazdo, w którém sześcioro młodych się znajdowało. Pięcioro z nich znaleziono na gościńcu i zaniesiono je na drewnianéj misce do izdebki pod dachem, w któréj okna na oścież zostawiono. Nie długo trwało, a już starzy ulepili gniazdo na drewnianéj misce i troskliwie żywność swym młodym przynosili. W godzinę późniéj znaleziono w tyle domu na trawie szóste pisklę, otoczone liczną zgrają jaskółek, broniących je od kotki, która przed dziobami rozsrożonych ptaków umykać musiała. Skoro kotka uciekła, natychmiast sześć jaskółek pochwyciło młode pisklę w swe dzióbki i zaniosło je z wielkim trudem do izdebki pod dachem.

Nieprzyjemne zdarzenie. Dnia 8go sierpnia pewien *gentleman* czekając na towarzyszów podróży, którzy birminghamską koleją żelazną odjechać mieli, oparł się o skrzynie, które w londyńskiéj stacyi kolei żelaznéj płótnem okryte były. Sądząc, że te skrzynie ustawione jedna na drugiéj, naładowane są towarami, puścił swobodny bieg swym myślom; aż oto nagle spostrzegł, że go za kołnierz coś schwyciło, a w chwilę późniéj z straszną przemocą kamizelkę z koszulą z ciała mu zdarło. Przestraszony Anglik ogląda się, i spostrzega ogromnego tygrysa, który na szczęście, w klatce był zamknięty. Tygrys poziérał nań rozsrożonym, ognistym wzrokiem, i bijąc ogonem czatował chwili, w któréjby na swoję zdobycz mógł się rzucić. Wtedy cała rzecz się wyjaśniła. Znany pogromca źwiérząt Harter, który przestał dawać przedstawienia w teatrze Astley w Londynie, zabierał się wyjechać do Birminghamu i dla tego klatki swoje z dzikiemi źwiérzętami kazał zawieźć na stacyję żelaznéj kolei londyńskiéj, dla odjechania z piérwszą wyprawą. Aże klatki te osłonięte były grubemi szmatami płótna, zdaje się więc, iż *gentleman* za zbliżeniem się do jednéj z klatek, zapewne jakowąś część nakrycia odsunął, i tym sposobem bardzo nieprzyjemnie z łapą drapieżnego towarzysza się spotkał.

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.